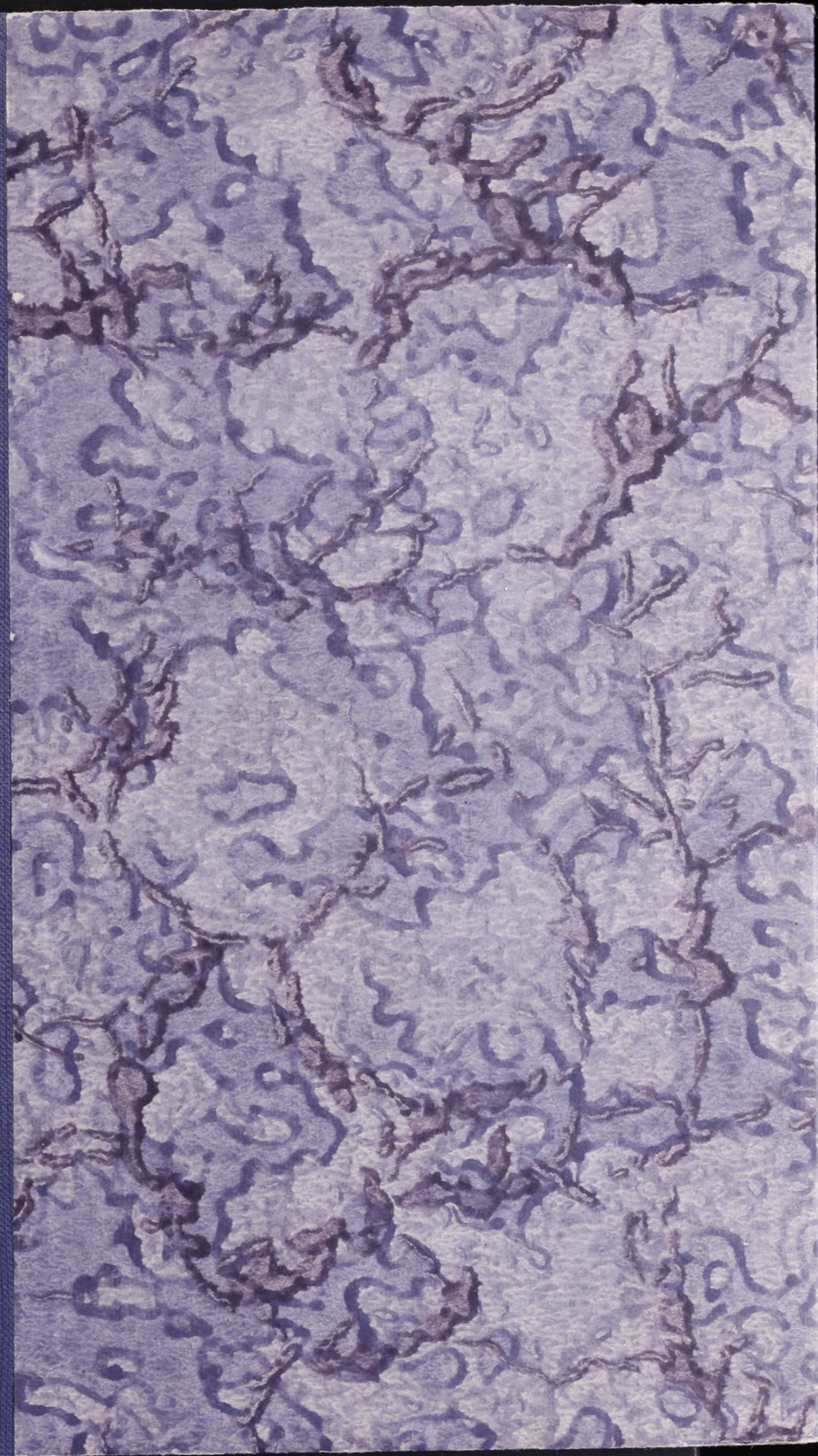
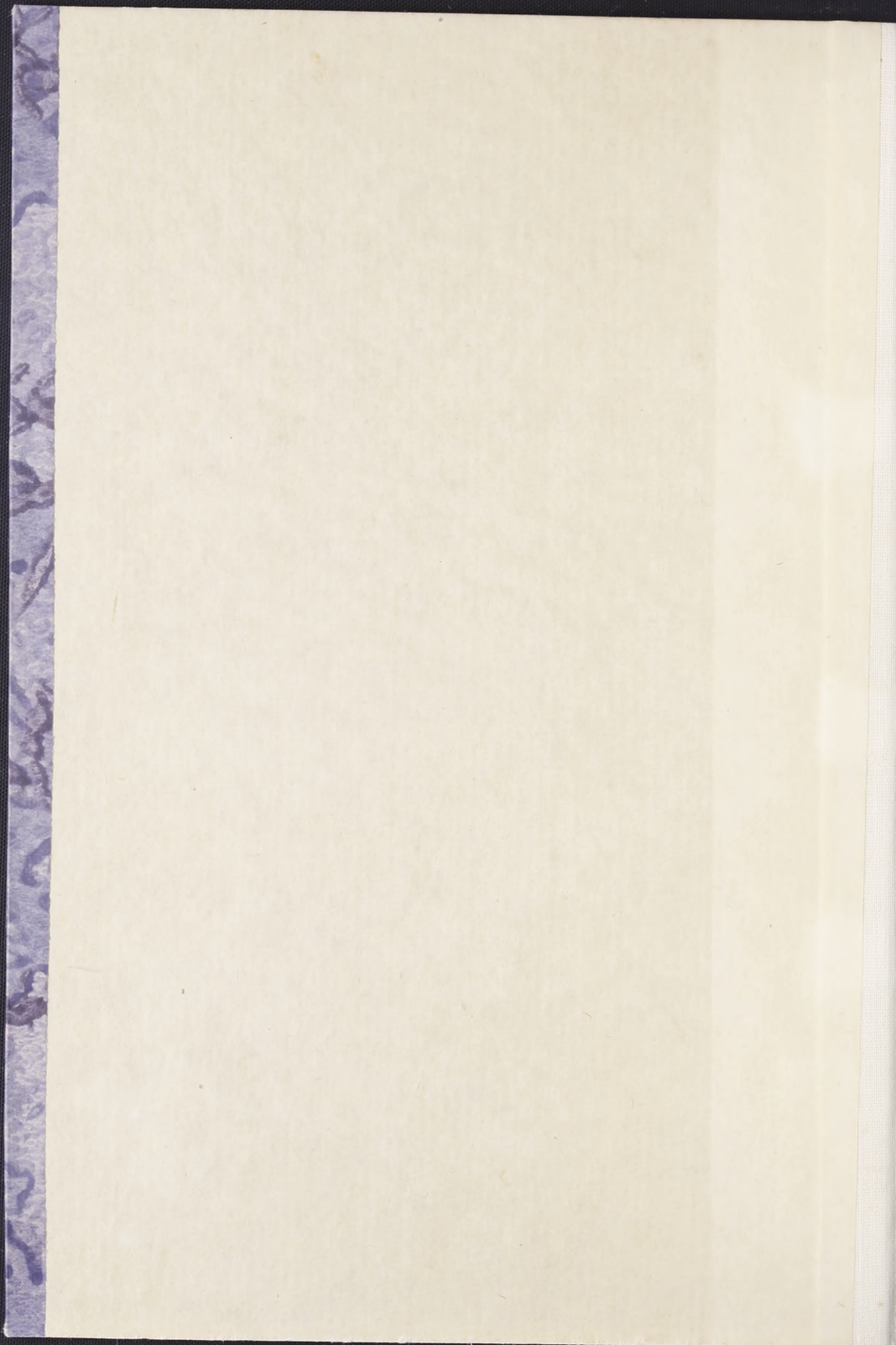


860604

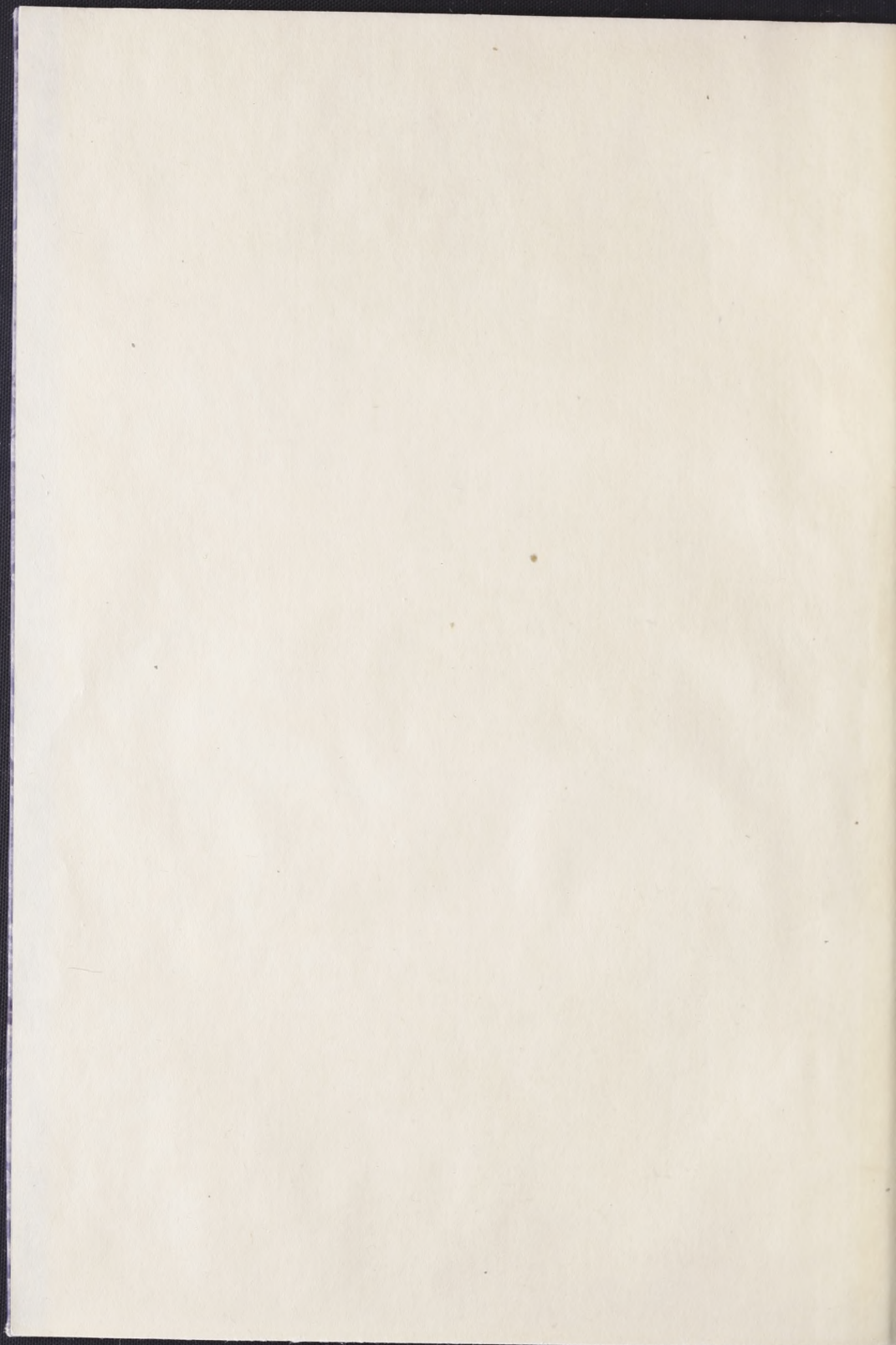




SADZE



ZŁOTO



н 860.604

48

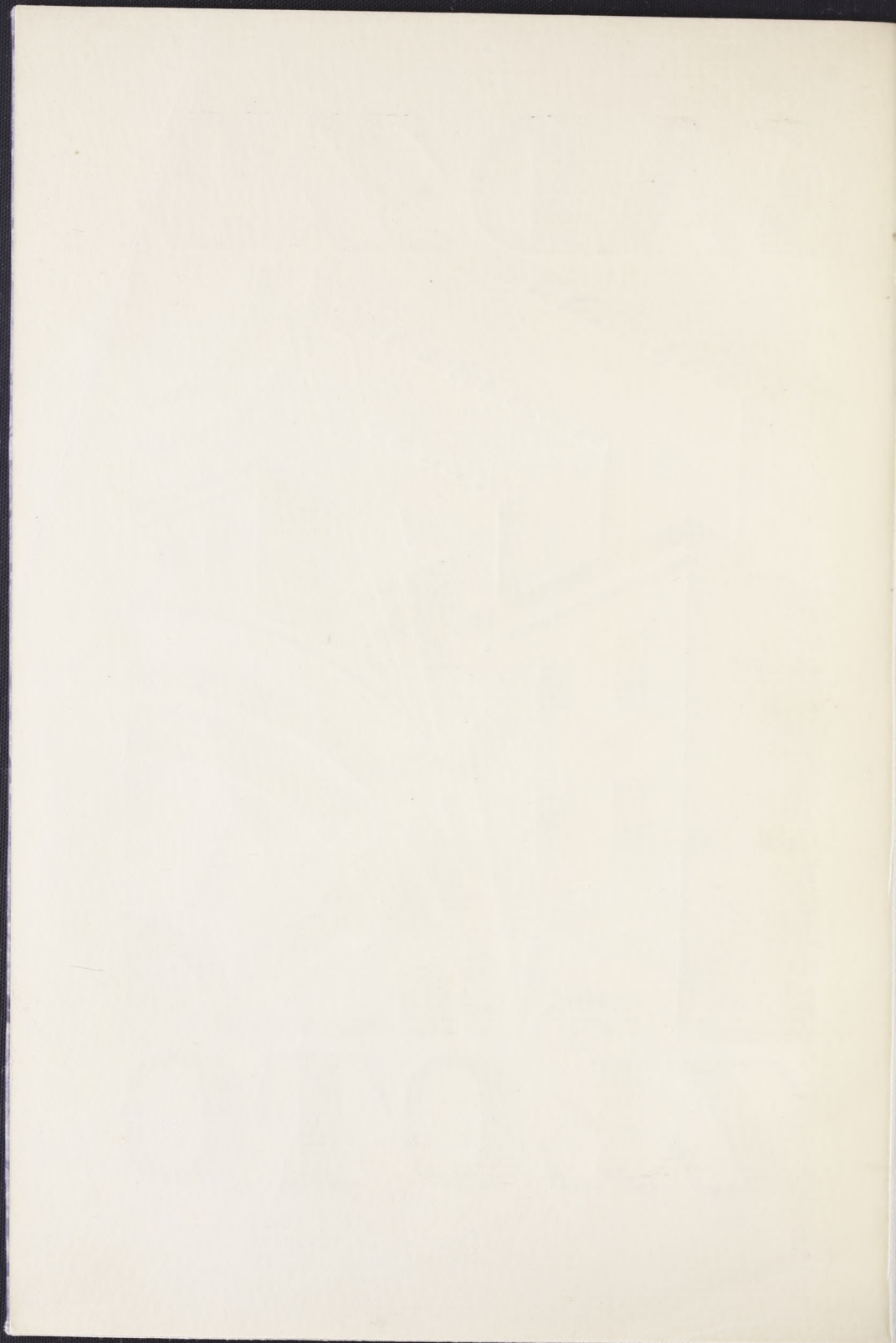
SADZE



K

H

ZŁOTO



SADZE
I
ZŁOTO

749

Okładkę rysunku Karola Hillera wykonano w Zakładzie Stanisława Welanika w Krakowie, ul. Sławkowska 14. Sześć litografij bito z kamienia w Zakładach Graficznych Filipa Grapowa w Łodzi, ul. Gdańska 87. — Książkę odbito w ilości 600 egzemplarzy na papierze bezdrzewnym. Składał Władysław Müller.

26
360,

SADZE I ZŁOTO

WIERSZE WITOLDA WANDURSKIEGO
LITOGRAFJE KAROLA HILLERA

1 9 2 6

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

SKŁAD GŁÓWNY: GEBETHNER I WOLFF W WARSZAWIE

Wiersze i litografie tego tomu powstały — niezależnie od siebie — na bruku łódzkim w okresie 1922—1924. Ten sam kompleks, który znalazł odbicie w słowie rytmicznym, realizował się prawie jednocześnie w kompozycji linearnej, w rysunku. Załączone litografie nie ilustrują wierszy: są one również wierszami linearnymi, w sobie zamkniętymi. Pozwala nam to przypuszczać, że poezja i grafika stanowią w danym wypadku dwugłos szarmonizowany. Słowo i linja wyrosły z pokrewnego podglebia duchowego dwojga ludzi, złączonych węzłem przyjaźni. To nas upoważnia do objęcia naszego dorobku wspólnym tytułem.



II 860.604



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019250722

1974k 786 / 18

GOŁĘBIARZ

Świt.

Kamgarn nieba wysycha po deszczu na słupach kominów
Kamienne miasto, opite pracą, śni sen,
ciężki, kamienny,
nad urwiskami brandmaurów.

Kwadraty ulic.

Kuby domów.

Czerwone bloki masywów.

I te przekrwione siatkówki okien fabrycznych.

Kamienne miasto śni sen

ciężki, kamienny.

Ale na śliskiej posadzce dachu kamienicy śródmieścia
otwiera się luka.

Wchodzi ten, który czuwa nad miastem:

siwiejący gołębiarz.

Otwiera klapę drucianą,

sypie groch,

gwizdże

6

i długo macha sztandarem ze ścierki na długiej tyce.

I oto

z furkotem

strzela srebrzysta rakieta

gołębi.

Druga — piąta — dziesiąta...

Białe krymki.

Koziółkujące berliny.

Stalowo-sine pocztowce.

I ta hołota — metysy upośledzone — pstre siekry.

Siwiejący gołębiarz, gwizdząc, spogląda ku górze

i macha sztandarem.

Misterjum!

Nad miastem kamiennem

co śni sen ciężki, kamienny

opiłe pracą —

nad kwadratami ulic,

nad kubami domów mieszkalnych

nad masywami bloków fabrycznych

i urwiskami brandmaurów —

j e d y n a r a d o s n a k r z y w a l

Gołębie

na szmacie nieba z kamgarnu

kreślą elipsy tęsknoty

Gołębie

rysują znaki tajemne gwiazd niedostępnych,

które notuje w pamięci

wsparty o cokół komina

siwiejący gołębiarz:

ASTROLOG.

1922.

KARUZELA

Ulicą
wózem między fabrykami
wóz
ładowany drewnianymi konikami
karuzeli.
Minaret komina iglicą
przebił na śmierć komętę
papierowego latawca
i wysoko nad miastem zawisnął
— akrobata pod kopułą cyrku Ciniselli —
smęt kolorowy syna krawca.

Hausa — baissa.
Franki szwajcarskie 1350
Żarówka Siemensa i Halske.
Chłopiec bawełnę w papierze niebieskim pod pachą niesie.
I w tem —
ASYRJA!

Osiem par z drewna wyciętych rumaczych łbów
Trzydzieści dwie pary wygiętych rytmicznych nóg
tworząc bojowy szyk

skręca za róg
w kierunku szosy na Rzgów.
Bum — cyk — cyk!

Karuzela!

Adje!
Na całą zimę.
Drogą na Rzgów.
Do widzenia!
I znów —
kwietniowa niedziela.
Słońce trąbi w pozłacany róg:
reklama wiosny!

Syn krawca puszcza latawca.
Karuzela — bum — cyk — cyk!
Pod namiotem dudni dziesięć bosych nóg.
Kręcą.
Dziesięć razy okręcą — jedna runda fraj!
Graj że katarynko, graj!
Bum — cyk — cyk!
Skoczyć w biegu
zawisnąć jaskółką
zeskoczyć
wskoczyć
łapać kółka

10

żelazne obrączki...

Talizman szczęścia!

Graj że, katarynko, graj!

Trzy złapane kółka — jedna runda graj!

Bum — cyk — cyk!

Karuzela.

Haussa — baissa.

Franki szwajcarskie 1350

A drogą na Rzgów

drewnianych koników trupki

dwie szkapy włoką.

Słońce, wciśnięte pomiędzy kamienic łupki,

śle perskie oko

do bladej panny w kiosku.

Rudy prokurent bawełnę pod pachą niesie

i znów

przystaje koło witryny fryzjera

szczypie biust damy — z wosku.

Haussa — baissa.

Drewnianych koników trupki.

JESIEŃ.

1922



BIBLIOTEKA
BN
NARODOWA

MIEJSKIE

Na słonecznych organkach gra ulicznik marzec
Susia z dachów przez rynny przechodniom na twarze.

Dzwonią o wszystkie płoty fluzy i tyczery
Tańczą na szyldach ubrań pokraczne frajery.

W ciemnym oknie sklepiku blade złote śledzie
Połyskują mistycznie w natłoczonej biedzie.

Bucha z okien otwartych zaduch, swąd i czosnek —
A pierzyny z balkonów reklamują wiosnę!

W LEŚNICZÓWCE

Młody bór pachnie winem fiordów Hamsuna.
Stalowa cisza zaraz pęknie jak napięta struna.

Bzykają skrzydełkami gwiazdy w szafirowych chabrach
Jak złote osy w pudełeczkach ojca Fabre'a.

Pod mięką stopą nocy nawet pies nie warknie
Kiedy do gwiazd roiska wchodzi mądry bartnik.

Ociekający miodem plaster modrej miazgi
Wycina szablą krzywą spadającej gwiazdy.

A gwiazda pada we mnie jak zielone ziarno,
Pęcznieje wierszem i wylata młodą sarną.

I nic nie boli. I niema żadnych cierpień.
Po mlecznej drodze bosy idzie rumiany sierpień.

OD PÓŁNOCY DO ŚWITU

Październik.

Ostatni owoc dojrzewa

i spada.

Za liściem liść krąży.

Za liściem liść pada

czerwieni.

Iść — iść — iść ulicami

zadumanemi nocami mądrej jesieni

Iść ulicami: Karola — Pańską — Radwańską —

hen — na Karolew.

Zadymionemi płucami

pić wino z lodem,

pić to powietrze jesieni

pachnące wiatrem i szronem

i ciałem młodem

mej żony.

Iść pańską — sam — zadumanemi nocami

koło zamkniętych bram

koło parku — wyspy umarłych Boecklina —



i słuchać rytmu swych kroków
tak jeszcze młodych.
Patrzeć jak północ podnosi na srebrnym bloku
lampę gazową księżycy,
patrzeć jak północ z cienkiego jedwabiu mroków
wycina profile cieni
i skleja
w stylu Beardsley'a
blanc et noir.

Skwer pusty. Ławka. Samotna dziewczyna
pensjonarka czy panna z kawiarni
rękawiczką oczy przesłania od blasku latarni
i szlocha.

A może nie szlocha?

A może —

to jeno fantom księżycy?

Park szumi — wyspa umarłych Boecklina —
Mandoliny jesieni.

Zielony księżyc — somnambuliczny rysownik —
pochylony nad geometrią wykreślną
tkalni — apretur — przędzalni
buduje linijką cienie.

Somnambuliczny rysownik w dziwaczny system je wiąże
i nyże zamkniętych bram
cyrklem promieni wydrąża.

Iść — iść — iść ulicami

sam

na Karolew — i dalej.

Tam

gdzie się kończy Karolew

za drewnianymi domkami

pole.

Na prawo — łukowych lamp żyrandole:

Dworzec Kaliski.

Na lewo — noc.

Staw pusty, martwy i śliski.

A dalej kolejowe tory.

Dwa semafony

na czele.

A na papierze welinowym nieba — telegraficzny drut.

Pięć linijek pociętych słupami na takty:

kilometry rozśpiewanych nut, kilometry nut!

Izolatory

stawiają białe da capo, nigdy al fine.

Szyny

stalowe cello

grają pod nocy tłumikiem.

Wiatr

trąca

telegraficzny drut:

picicatto.

Kilometry rozśpiewanych nut, kilometry nut!

Noc. Dzikie pole.

Wiolonczele szyn.

I okaryna księżycy.

Jesienna cisza — czarny ciężki kruk.

Śpi Łódź. Śpi Karolew.

Zamknięte podwoje bram.

Nikt nie słyszy.

Ja sam.

I dzikie pole.

I noc.

Wtem — gwizd

przeciągły świst

rozpruwa aksamit nocy

Jęk — szczęk — chorągiew skier

złotymi znakami łopoce.

Żelazny wąż

oczyma błyska, migoce

szyn kilometry połyka

iskrami żyga

wciąż —

a na skręcie

kadłub wygina

sapie zawzięcie

i znika.

Kurjer w kierunku Berlina.

Iść — iść — przez dzikie pole —
z powrotem.

Iść przez Karolew
do miasta

gdzie geometria wykreślna tkalni — apretur — przędzalni
z waty przedświłu wyrasta

i przypomina:

Nie jesteś, człowieku, sam — nie jesteś sam
Minarety

zamorusane kominy

budzą się zwolna i kadzą dymu obłoki.

Meczety

czerwone bloki

tkalni — apretur — przędzalni

rozwarły podwoje bram.

Organy maszyn, ukryte w gorącej parze
grają hymn pracy.

Migają koła ruchomych ołtarzy.

Wracaj!

Za pół godziny

zanucą pieśń muezziny

syreny fabryk

i wierni — robotnicy i robotnice —

z Karolewa — Pańskiej — Radwańskiej

wyjdą na ciche ulice

niewyspani, lecz mądrzy i prości.

Za pół godziny
zagrają hejnał radości
trąby kominów —
a wierni
poważni niemcy — nerwowi żydzi — polacy
codzienną modlitwę pracy
rozpoczną.

Październik.

Ostatni owoc dojrzewa
i spada.

Za liściem liść krąży.

Za liściem liść pada
omdlewa.

Łódź dymi.

Sadze na twarzy — jak krosty.

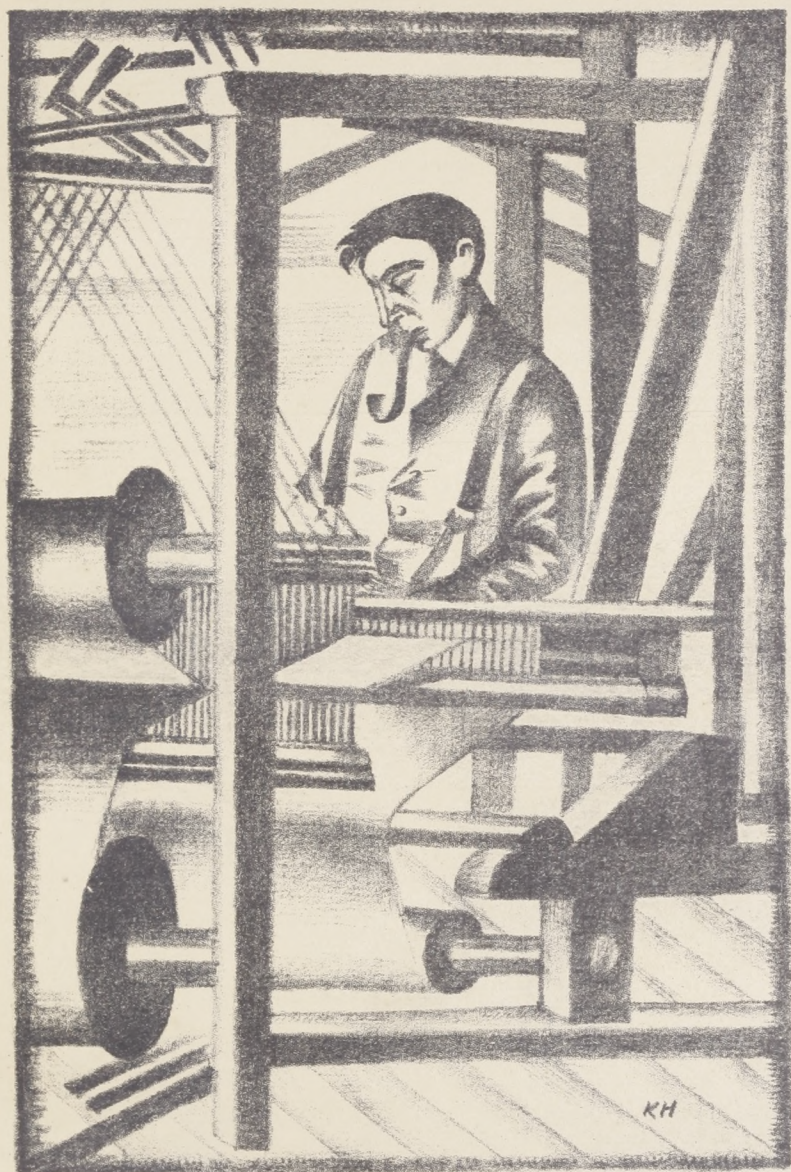
Syrena śpiewa.

Wierni do świątyń dążą.

Idę

radosny i prosty

za nimi.





LATO 1923

Dozorca piątej kategorii — 18.000 marek tygodniowo.
Bochenek chleba — 9.000.

Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.
Coraz goręcej.

Ludzie bez kapot stoją spoceni u bram
wsluchani w bulgot żółto-zielonych rynsztoków.

Szklane żrenice toczą po martwych kominów lesie
po złomach brunatnych bloków.

Tam

u wylotu ulicy

zeszły się starki-rajfurki

dwie kamienice

i szepcą:

Dzień się strudzony powiesił!

Na szyi nieba

koloru mętnej cykorji

czerwieni

cieniutka bruzda wisielca.

Lipy w ogródku fabrycznym pachną miodowo.

... Gdzieś w Kielcach

urzędnik ósmej kategorii

rzeźki i zdrowy

kroczy za miasto
na ryby.

A w Łodzi

ludzie bez kapot stoją spoceni u bram
starzy i młodzi

wsluchani w bulgot żółtych cuchnących rynsztoków

Ach, gdyby

można się było wykąpać!

Wykąpać w rzece!

Nic więcej.

Lipy wciśnięte w szczeliny brunatnych bloków

pachną miodowo

coraz goręcej...

Bochenek chleba — 9.000.

Dozorca piątej kategorii — 18.000 marek tygodniowo

KAPITAN NEMO

Księżyc

iluminator niewidzialnej submaryny

S. IX.

powoli płynie.

Kapitan Nemo w kabinie

u steru.

Droga mleczna.

Elektryczne fale.

Ocean eteru.

A tu — w głębinie —

podwodne rafy kamienic

stalaktyty kominów

ślimaki turbin

kraby-lewary

stada pociągów-gąsiennic —

Atlantyda zatopionych miast.

Zna doskonale farwater kapitan Nemo.

Wysoki Syrjusz — radiostacja świata —

sygnalizuje mu iskrę.

Wylądujemy na koralowej wyspie

i z palmy srebrnej narwiemy daktyli gwiazd.

W jesiennem palcie, jak w zbroi skafandra
chodzę po miejskim dnie.

Gumowa salamandra.

Nurek.

Z łodzi księżycy zwisa ku mnie sznurek
promieni.

Setki tysięcy atmosfer!

Ocean przestrzeni

nade mną.

A w gardle schnie.

W uszach dzwoni.

Hallo!

Kapitanie!

Proszę nie spuszczać w dół.

Ołów moich podeszew w trotuarach tonie.

Zapadam w muł.

Kapitanie!

Ciągnąć do góry!

Hallo!

Nie odpowiada.

Illuminator księżycy wysoko płynie.

A tu — w głębinie —

między rafami kamienic

biegają spłoszone gady — automobile —

i sączą tubkami źrenic
jad — acetylen.
W zielonym blasku
migają rozhybotane plamy
— ludzie czy ryby? —
i wystraszone mą gumową maską
znikają w niebieskim szlamie.
Dzwoni mi w uszach — dzwoni — dzwoni — dzwoni —
Hallo!
Mówi nurek.
Tonie!
Hallo!
Kapitanie!
Ja się na dnie duszę!
Cięgnąć do góry!
Hallo!
Czyś oniemiał?

Cisza.
Głos nie dolata.
Kapitan Nemo nie słyszy.
Kapitan Nemo w kabinie
bada niebieski farwater
i płynie
poprzez elektryczne fale
wciąż dalej

ku wyspie z koralu
gdzie srebrne palmy rodzą daktyle gwiazd.
Nie słyszy
wołania nurka z głębin.

Chlast!

Przeciął rurkę
i zamknął iluminator swej submaryny
księżycu
Kapitan Nemo.
Głucho.
Ciemno.
Niemo.
Szara i mętna mgławica.
Atlantyda zatopionych miast.





SZCZĘŚCIE

Napisałem wiersz.

Poświęciłem go przyjacielowi serdecznemu — poecie.

Jestem słodko wyczerpany.

Świeca płonie równo — jak me szczęście.

Żona śpi, bardzo znużona.

I pies mój śpi.

Cisza.

Tylko tika nerwowo na nocnym stoliku budzik.

Pełnia.

Wszystko takie proste i spokojne.

Teraz wiem, że można kochać ludzi.

Na stoliku lampa, keks i pomarańcze,
dwie herbaty i kawałek czekolady.
Ciepło w pokoju.
Z drzwiczek pieca na podłogę żółty kwadrat pada.

Na drugim piętrze:
gruby buchalter gra shimmy na pianoli,
dwa szpice tańczą.

A tu
w skupieniu
młoda kobieta coś szyje.
W milczeniu szyje coś białego z koronkami.

Napis:

— Wiesz, myślałam że to będzie dla naszego maleńkiego..
Dwie krople duże
najświętsze
płyną rowkami twarzy
wisną na szyi.
Dym z fajki.
Cisza trwożna.
Aż się w głowie kręci...

Na drugim piętrze:
gruby buchalter gra shimmy na pianoli.
Ból ostry — jak iniekcja rtęci.

Mężczyzna:

— Nie można.

1923

MĘKA

Najgorsza męka wówczas, gdy męki jeszcze niema
Godzina, kiedy Chrystus odchodził na Getseman.

Dnie więdną na czekaniu, a dni tych wiele, wiele
Miałeś, Chrystusie, uczni — nie miałeś przyjaciela.

Gdybyś się nam objawił, orzeklibyśmy: warjat!
Co Tobie burżuazja? Co Tobie proletarjat?

Dolar jest wiecznie drogi, a słowo takie tanie.
Kto pojmie Twoje: „Eli, lama sabathani!“

Oliwy schną od kurzu w ogrodzie Nikodema.
Najgorsza męka wówczas, gdy męki jeszcze niema.

DWA WIERSZE PISANE W SZPITALU

1. Śmierć

W wygniecionej foremce poduszki
Zastyga woskowa twarz.
Tłusty felczer na bębnie puszeki
Pincetami wybębnia marsz.

Płynie łóżko — blaszana gondola —
Przez falistą szpitalną biel
I tylko nad uchem rzępoli
Dokuczliwy włochaty trzmiel.

Już przez upiorny korytarz
Sunie wolno upiorny ksiądz
By cierpienie i radość ukrytą
Jak dwa druty baterji sprząc.

2. Wyzdrowienie

Słońce. Trawa. I parkan. Dwa kły wież kościoła.
Pudła domków. Kałuże jak benzyna schną.
Co za radość — przycisnąć do szyby kość czoła,
Patrzeć na świat poprostu, jak Henryk Rousseau!

Wielki starcze małego Paryża! Celniku,
Malujący obrazki jak blaszany szyld —
Wśród kajetów, obsadek własnego sklepiku
Ukochanie wszechrzeczy wyniosłeś na szczyt.

Zrozumiałem prawd wiele w ciasnym pudle szpitala:
Trawa jest tylko trawą. I głogiem jest głóg.
Próżno szuka Graala tęskny duch Parsywala:
Życie rzeczy jest proste. A wszędzie jest Bóg.





SZEŚĆDZIESIĄT SZEŚĆ

Żona i siwa babcia grają w sześćdziesiąt sześć.
Na podłodze w szerokie kraty kocięta kwilą.
Kotka chce je do pudła wnieść.
Philips Argenta sączy mleko na zieleń ceraty.
Muchy krążą jesiennie chore.
Przelatujące chwile.
Hory.

Dziś rano
gdym stał w P. K. U.
wyjeżdżały za miasto furgony
cyrku Medrano.
Blady ulicznik pędził za nimi co tchu
aż przystanął strapiony.
Czy nie dlatego świeci tak anemicznie
profil znużony
mej żony?

Koty — karty — kraty — żółte rozety — i kwiaty.
Żona i babcia grają w sześćdziesiąt sześć — uroczyście.
Na zieleń ceraty
padają umarłe liście

Królowie — Damy — Walety

Dwadzieścia — czterdzieści — sześćdziesiąt sześć.

Na stole płachta gazety.

Re — wo — lu — cja — a — rząd — Stre — se — man — na.

To w roku dwudziestym trzecim.

Lecz w osiemnastym — to samo:

Rewolucja.

Rząd Scheidemanna.

Humor stulecia!

Czytajmy dalej.

Sowiety.

Stypendjum dla syna Szczedryna.

Pozatem: Nep! — Nep!! — Nep!!!

W Polsce — da capo:

Gdańsk.

Jaworzyna.

Margaryna i sacharyna.

Psie mięso.

Dolary.

I czerstwy chleb.

Może w Anglii inaczej?

W Londynie zwołują na nowo

konferencję światową.

To znaczy:

Ropa.

Zrozumiałem.

Babcia Europa

nad mapą świata rozdartą

z Jehową gra w karty.

Wieszcz mówi:

Imię jego jest czterdzieści cztery.

Mgła.

Romantyczna treść.

Naco to?

Patos nieszczery.

Może właśnie —

sześćdziesiąt sześć.

1923

OSTATKI

Dnie stąpają ciężko jak tragarze
dźwigający do grobowca piach.
W syberyjskiem futrze kroczy marzec
niosąc plakat — jedno słowo — krach!

Napęczniałe od manufaktury
usta fabryk wyrzygują tłum.
Roby milczą. A gdy spojrzy który —
w białkach oczu drgają blaski łun.

Zapędzony w wilgny kąt piwnicy
mdleje z głodu bezrobotny tkacz.
A fabrykant — w blitz-expressie Wiedeń-Nizza —
je sandwicze i przyjemnie czka.

Wrzeszczą zewsząd mordy pstre afiszów:
— Maska-rada! Baw się, człeku! Skacz! —
Już ostatki. Na gwałt do finishu
pędzi tłusta ochwacona klacz.



BIROTEKA
BN
ROBOW

Ale dnie stają ciężko jak grabarze,
w masztach radio marsz żałobny gra.
Zrzuci futro wyleniałe marzec
i uderzy w bęben:

Ça iral

AGITATOR

W cąjgowej marynarce, tuląc w palcach kołnierz
Biegnie truchtem po jezdni armji pracy żołnierz.

Piąta: wiec metalowców. Szósta — u włóknarzy.
Więc truchcikiem, truchcikiem. Nagli mróz — towarzysze.

Zima, praczka gorliwa, namydliła śniegu
Balje placów w burzynch od mydła taniego

Jak pralnia mroźną parą nasiąkła ulica
Słońce, stara żarówka, mdło we mgle prześwieca.

Sala zebrań. Termometr kucnął niżej zera.
„Towarzysze! Tu zimno jak jasna cholera!

Na miasto! Na rozgrzewkę! Zapalić ogniska!
Taszczyć z stare papierzyska!“

I znów dalej. O siódmej wiec u kolejarzy.
Biegnie truchtem. Na głodno o dniu wielkim marzy.

Po dziesiątej — do domu. Zadymka. Zawieja.
Miasto — knieja odludna. Śnieg za kołnierz wieje.

Pali kciuk odmrożony w rozdziawionym bucie.
Ale tli się nadzieja — rozżarzony drucik.

1924

PRECZ Z KANARKAMI!

Każdy artysta nosi marynarkę
Pod nią ukrywa żeber klatkę
W klatce ma watkę
Serce niedokrwiste
W sercu — starego kanarka.

Ptaszek to czuły: je złociste ziarnka
Tylko z kramiku poezji.
Życie? Otręby!
Toby go otruło
Chleba czarnego — nie zje.

Poeta w bramie liczy ostre kości
I do piekarni zerka —
A kanarek figlarnie o miłości ludzkości
Do mdłości
Rymami ćwierka.

Dość tego! Stop! Serce w garść, sankiuloci!
Czyżby już tylko, czyż
Wzruszyć nas mogły cysterny wilgoci
Mia May?
I Liljana Gish?

Łzy kinowe? Pokora? Nie! Raczej cor bovis.

Głodnyś — to rozbij sklep!

Serce — do tłoczni: nabierze wigoru.

A kanarkowi —

Ukręcić łeb.

STOLARKA

Jeśli wolno mi jeszcze marzyć
Niech marzenie doda mi sił:
Chcę nauczyć się sztuki stolarzy
Muzyki hebla i pił.

Jakiś stary spocony majster
Ohebluje mi wolę na dąb.
Będę kornie gotował mu klajster,
Będę ostrzył na pile ząb.

Białą skórę na dłoniach wydrę
Byle tylko stolarzyć wciąż
Byle mordą stalową świdra
Wgryzać się w drzewny miąższ.

Może da mi wykończyć mebel:
Będę kliny zabijał do dziur.
Da mi w łapy okrzepłe hebel —
W arabeski zakręć wiór.

Zabiegają mi ręce, zaskaczą
Wśród wiórów pachnących i drzazg
A serce o pierś wykołacze
Radosny murzyński jazz.

A gdy będę już robił sprawnie
(Rok upłynie — a może i dwa)
Wykreślę z paszportu: prawnik —
Wpiszę dumnie: stolarz i drwal.

W artelu, wesoło i tłumnie —
Sheblujemy za blatem blat
I w ogromnej drewnianej trumnie
Pochowamy umarły świat.

DO PANÓW POETÓW

Poeci! Dostawcy flakonów narkozy egzotyki!
Eunuchy otyłej Pani od Zmigrydera!
Może wam tabes wyleczy brutalny dotyk
Ludzi stalowych z powieści Uptona Sinclaira?

Kiedy, pytlując w kawiarni, na błahych dysputach
Łykacie kremy, pół czarnej i grenadiny —
Ojcowie rodzin na Woli i na Bałutach
Wygrzebują z rynsztoków łupiny!

Dzierzgamie sobie, poeci, brabanckie koronki,
Które rzucacie paskarzom w okładkach Ignisa —
A w rzeźniach tysiąca Chicago mordują Onki
I grzęzawiska wsysają olbrzymów Jurgisów.

Krzywda — krzywda — krzywda
Ryczy miljonem głosów fabrycznej dzielnicy!
Tak się do sali nocnego dancingu krzyk wdarł
Umierającej na śmietniku położnicy.





Lecz wy robicie wciąż wiersze jak manikiurę
 Nad kloakami miast rozpinacie jedwabny namiot —
 Gdy Sinclair wali oskardem tak samo jak piórem,
 Zakłada dynamit.

Nęci was łezką świerszcz za kominem Dickensa?
 Spać wam nie daje sława Conrada rozległa?
 A wiecie — jedno przeżycie Higginsa warte dziś więcej
 Niż cała wasza „twórczość niepodległa“!

O, niepodległa obłudol Wolności Onanal
 Jak wam nie obmierzył, poeci, samogwałt słowny?
 Patrzcie! Nad globem powiewa już Rote Fahnel
 Ciskajcie do dusz prochowni płonące głowniel

..... Paryże, Londyny!
 po słodkiej Warszawie!
 Dezynfekować Europę kłębami dymów!
 Ogień uzdrawia.

... of which might appear to indicate
... that the
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

... ..
... ..
... ..
... ..

SPIS RZECZY

Wiersze:	
	Str.
Gołębiarz	5
Karuzela	8
Miejskie	11
W leśniczówce	12
Od północy do świtu	13
Lato 1923	19
Kapitan Nemo	21
Szczęście	25
Kino-dramat	26
Męka	28
Dwa wiersze pisane w szpitalu	29
Sześćdziesiąt sześć	31
Ostatki	34
Agitator	36
Precz z kanarkami!	38
Stolarka	40
Do panów poetów	42

Litografie:	
	Przed str.
Podwórko	11
Tkacz	19
Pokój z wami	25
Inwalida	31
Tragarz	34
Szofer	42



CONTENTS

1	Editorial
2	Book Reviews
3	Notes
4	W. J. ...
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100

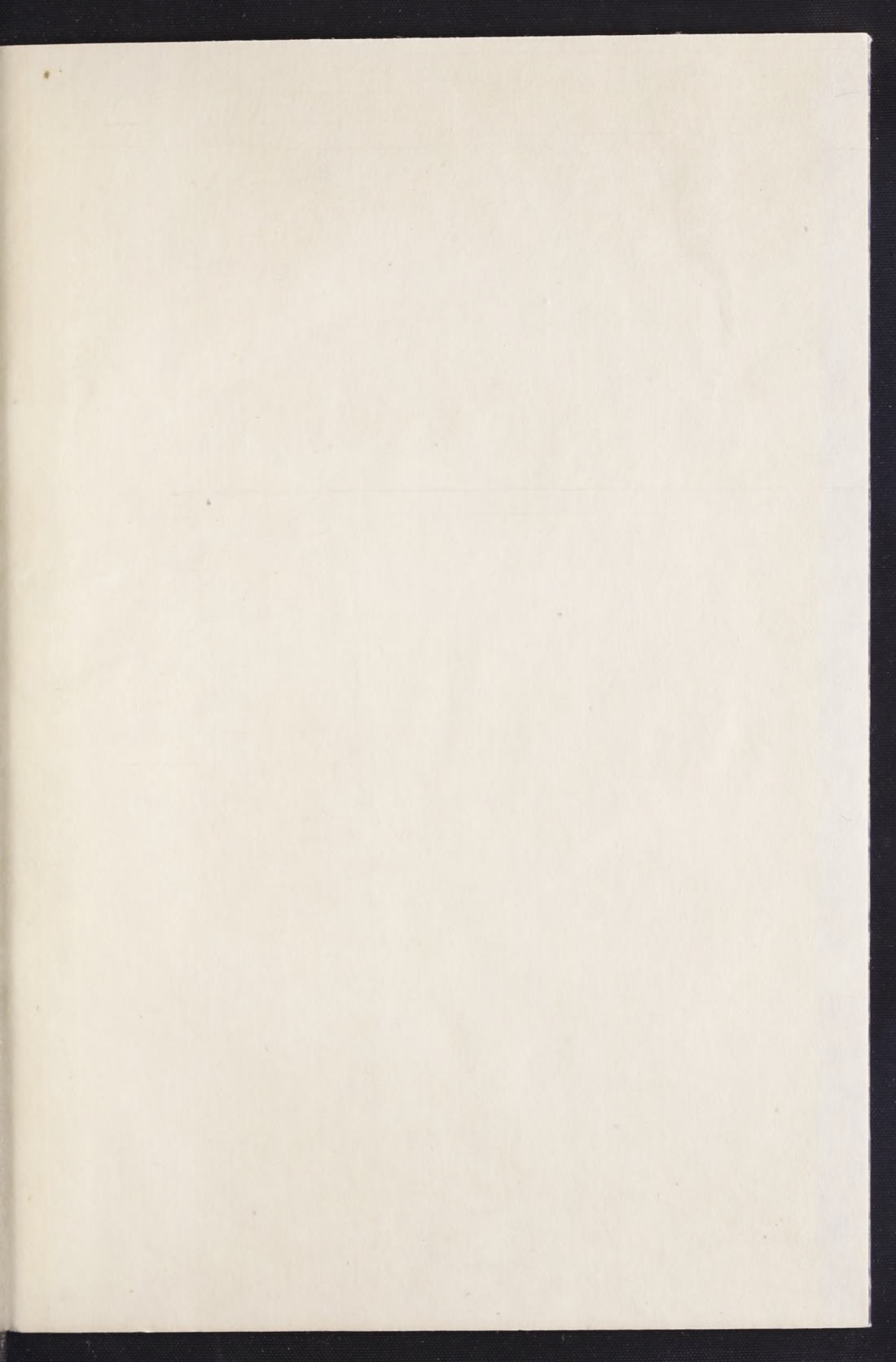
INDEX

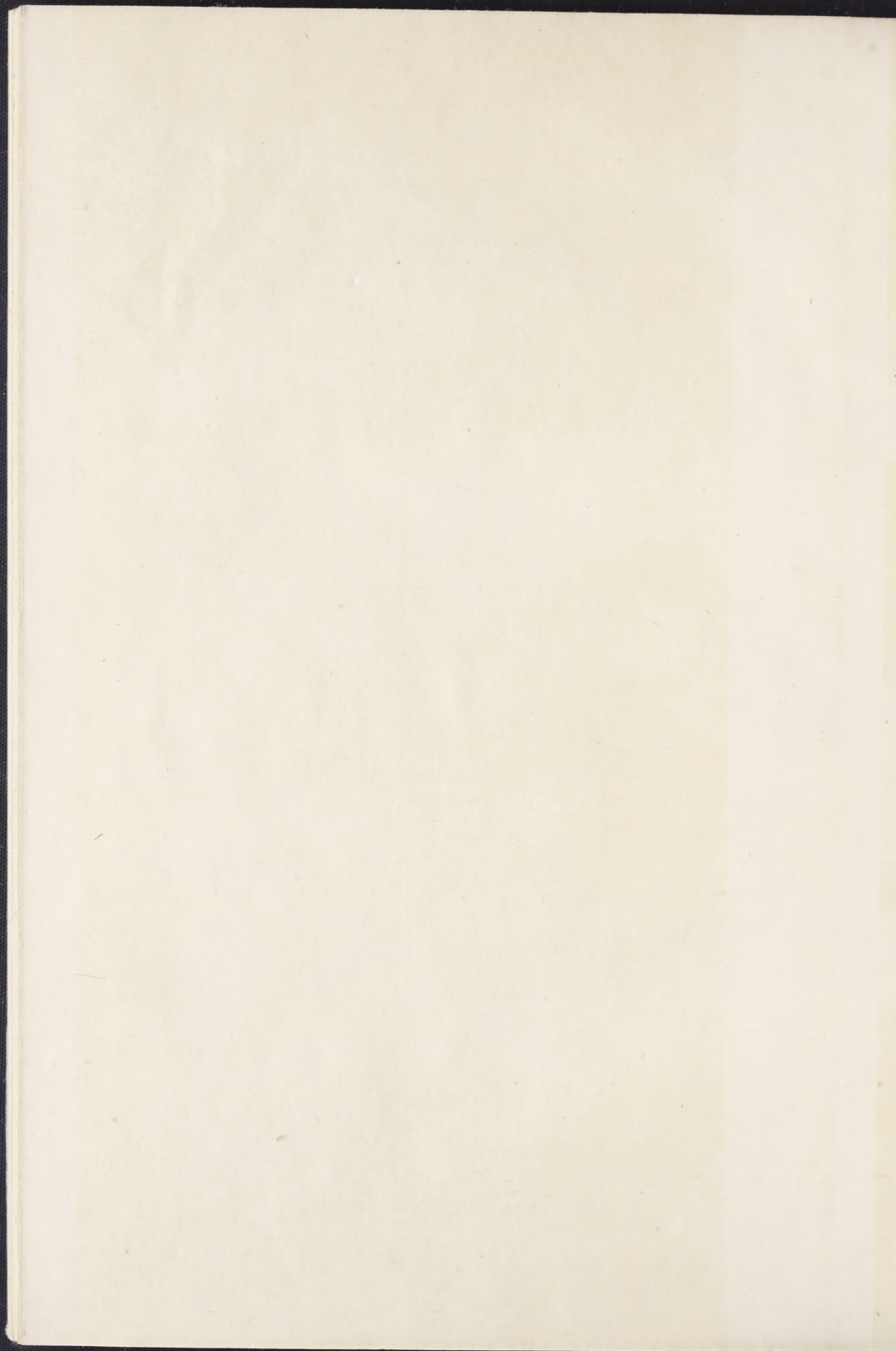
1	...
2	...
3	...
4	...
5	...
6	...
7	...
8	...
9	...
10	...
11	...
12	...
13	...
14	...
15	...
16	...
17	...
18	...
19	...
20	...
21	...
22	...
23	...
24	...
25	...
26	...
27	...
28	...
29	...
30	...
31	...
32	...
33	...
34	...
35	...
36	...
37	...
38	...
39	...
40	...
41	...
42	...
43	...
44	...
45	...
46	...
47	...
48	...
49	...
50	...
51	...
52	...
53	...
54	...
55	...
56	...
57	...
58	...
59	...
60	...
61	...
62	...
63	...
64	...
65	...
66	...
67	...
68	...
69	...
70	...
71	...
72	...
73	...
74	...
75	...
76	...
77	...
78	...
79	...
80	...
81	...
82	...
83	...
84	...
85	...
86	...
87	...
88	...
89	...
90	...
91	...
92	...
93	...
94	...
95	...
96	...
97	...
98	...
99	...
100	...

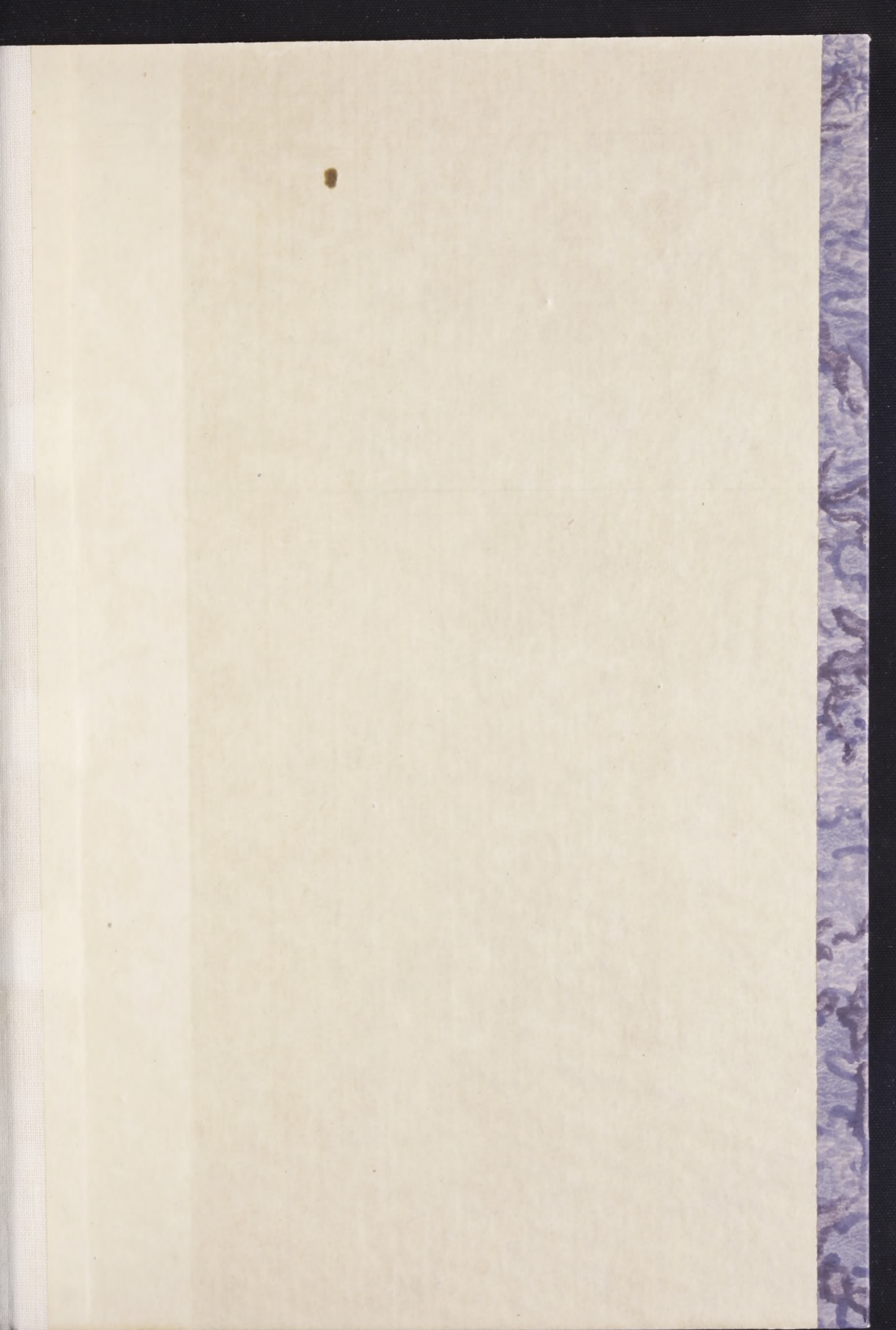
WITOLDA WANDURSKIEGO:

- ŚMIERĆ NA GRUSZY.** — Zabawa sceniczna w 3-ech aktach (9 obrazach). — Dekoracje i inscenizacja autora. — Grano w Krakowie (Teatr im. J. Słowackiego) w styczniu 1925.
- TOMEK SAVYER** czyli **PRZYGODY URWISA.** — Wido-wisko w 4-ech aktach (20 obrazach) według powieści Marka Twaina. — Dekoracje i inscenizacja autora. — Rękopis.
- NOWA SCENA ROBOTNICZA.** — Wybór utworów scenicznych Majakowskiego, Golla i Brauna w przekładzie i inscenizacji W. Wandurskiego, ze wstępem i uwagami tegoż. — „Książka”. Warszawa 1923.
- TRZY SALWY.** — Biuletyn poetycki (wraz z Władysławem Broniewskim i Stanisławem Ryszardem Standé) Warszawa 1925.

Antyko. 66
Poznań 17.7.
- 2602









860604

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001019250722